

O cyganach i katastrofistach (3)

„Uzurpatorzy wolności”

Ktoś, kto by zadał sobie trud przejrzenia polskich czasopism literackich z końca roku 1935 i z 1936, natrafiłby na liczne artykuły i polemiki, związane z dwoma moimi artykułami, zamieszczonymi w „Wiadomościach Literackich” w odstępie kilku miesięcy: „Smutne porachunki” i „Uzurpatorzy wolności”. Wyjaśniam w nich motywy, jakie skłoniły mnie do zerwania z komunizmem. Tu trzeba cofnąć się wstecz, do lubelskiego miesięcznika „Dźwigary”, którego pierwszy numer ukazał się w październiku 1934 roku.

Była to próba bardzo ambitna, a zarazem świadomie prowokacyjna pod adresem stojącej i gnijącej topieli polskiej „myśli” lewicowej. Z odległości tylu lat nietrudno zdać sobie sprawę, jak bardzo byłem nieprzygotowany do tej roli, jaką wzięłem na siebie z optymizmem wręcz nieodpowiedzialnym. Zamiar był naprawdę szaleńczy, a jednak, gdybym się przy nim uparł dłużej narobiłbym niesamowitej kaszy. Ale i tak skandal wypadł dość imponująco.

Przeciw ortodoksji i wbrew przyjętym w środowisku obyczajom popełniłem szereg karygodnych wykroczeń. Po pierwsze pozwoliłem sobie postawić pod znakiem wątpliwości bezwzględny autorytet Związku Sowieckiego; po drugie - wyraźnie podkreśliłem, że polski ruch lewicowy nabierze siły i oryginalnych rumieńców z chwilą, gdy się usamodzielni i uzna za istotną swoją odrębność narodową, ze wszystkimi dalszymi konsekwencjami. I wreszcie po trzecie - żądałem całkowitej autonomii dla literatury i sztuki, odrzucając, a raczej dając odmienną interpretację teorii o nadbudowie kulturalnej. Wiersze Czechowicza, Miłosza, Zagórskiego i Piętaka, zamieszczone w pierwszym numerze „Dźwigarów”, a nie mające nic wspólnego z „poezją proletariacką”, stanowiły wymowną ilustrację do poglądów autora.

Gdyby wówczas istniało takie pojęcie, jak „narodowa droga do socjalizmu”, „Dźwigary” można by było chyba podciągnąć pod ten termin bez większego trudu. Urządziłem na własną rękę coś w rodzaju literackiego „października”, z tą jednak różnicą, że całkowicie na serio i bez błogosławieństwa „z góry”. Reakcja była natychmiastowa. Szenwald wystąpił w „Lewarze” z ostrą, choć powstrzymywaną w słowach krytyką, zarzucając mi wprowadzanie dywersji do ruchu lewicowego. Tyle, że na razie nie pisał o brudnych intencjach, ograniczając się do sugestii, ubranych dla elegancji w styl szekspirowski: „Jeżeli to szaleństwo, dlaczego w nim tyle metody?”.

Szaleństwo było niewątpliwe, metoda - również. Gdybym był bardziej powściągliwy i nie walił kłody przez pień, „Dźwigary” wychodziłyby przez czas dłuższy i niewątpliwie zrobiły swoje. Ale młoda niecierpliwość i temperament przemogły. Atak „Lewaru” stworzył dokoła mnie odpowiednią

atmosferę. Władysław Kowalski, którego opowiadanie dała mi do numeru Boguszevska, wystąpił publicznie, oświadczając, że nadużyto jego zaufania (ale honorarium nie zwrócił), część członków „Przedmieścia” zażądała wydalenia mnie z grupy, jak to przedtem uczyniono z Haliną Krahełską. Były jednak i reakcje pozytywne. Zachęcający list napisał do mnie Broniewski, zgłosił akces do pisma i przysłał kilka wierszy Julian Przyboś. Lewicowe środowisko w Lublinie zachowywało się powściągliwie. Zbyt na mnie stawiali, więc postanowili przeczekać: co się też z tego wykluje...?

W drugim numerze miesięcznika odpowiedziałem gwałtownie na atak Szenwalda i wyraźniej jeszcze sprecyzowałem własne stanowisko, które sprowadzało się mniej więcej do takiego rozróżnienia: nie Komunistyczna Partia Polski, lecz Polska Partia komunistyczna. „Herezja nacjonalistyczna” została tym samym przypieczętowana. Ale nie było to jeszcze zerwanie, tym bardziej, że w gruncie rzeczy napisałem to, co niejeden myślał po kryjomu.

Dochodziły mnie jednocześnie nieprzyjemne wiadomości, z których wynikało, że cokolwiekbym w dalszych numerach napisał, i tak zostanę potępiony. Zjawilo się niedwuznaczne, powtarzane z ust do ust pytanie: - Za czyje pieniądze wydawane są „Dźwigary”? Akurat przyjechał do Lublina Bolesław Zandberg. Wiedziałem, że mnie lubi i ufa, więc zagadnąłem wprost, co o tym sądzi. Był zakłopotany, więcej - zażenowany. „No, ja wiem, że na pismo poszło stypendium literackie i dochody z korepetycji, ale kto w to uwierzy?”. Istotnie - nie wierzono. Łatwiej było uwierzyć, że jestem agentem, a nie wariatem, wydającym ciężko zarobione pieniądze na pismo „dywersyjne”. A ja znowu nie należałem do tych, którzy nad tego rodzaju posądzeniami przechodzą do porządku dziennego.

Jak to często bywa, o dalszym ciągu zadecydował przypadek. Znałem dobrze pewnego starego komunistę, który rozpoczynał swoją działalność jeszcze przed pierwszą wojną światową, w SDKPiL-u. Pracował gdzieś na wsi wołyńskiej pod Kowlem, a ze względów sentymentalnych dość często wpadał do Lublina. Z racji miejsca zamieszkania był członkiem KPZU (Komunistycznej Partii Zachodniej Ukrainy). O taktyce partyjnej wyrażał się pogardliwie, śniła mu się akcja bezpośrednia, włącznie ze zbrojnym terrorem i ekspropriacjami. Ostrzegano mnie przed nim wielokrotnie, jako przed niebezpiecznym „lewakiem”, a kto wie, może nawet prowokatorem. Ostatni raz widziałem go w marcu 1935, właśnie w chwili, gdy ważyłem decyzję - ciągnąć „Dźwigary” dalej, czy machnąć na to ręką i zająć się osobistymi sprawami.

Mój znajomek przyjechał roztrzęsiony. Niemal płacząc, opowiadał o tym, co działo się na Ukrainie w strasznych głodowych latach 1932-33. „Dochodziły mnie słuchy już dwa lata temu, ale wszystko uważałem za kapitalistyczne oszczerstwo. A teraz wiem, wiem na pewno, że to prawda. Więc jak? Jak teraz żyć? Splugawili święty ołtarz rewolucji...”. W dwa miesiące później popełnił samobójstwo.

Na temat rosnącego terroru w Rosji Sowieckiej nie można było nawet zająknąć się. Niedawny Zjazd Pisarzy Proletariackich w Charkowie dał wiele do myślenia uważnemu obserwatorowi. Denerwował i wręcz rozśmieszał prymitywizm metod, stosowanych przez krytyków literackich,

uznanych za marksistowskie autorytety¹. To akurat wtedy wzięto na warsztaty postulat realizmu socjalistycznego, sprezentowany lekką ręką Maksyma Gorkiego, tuż przed śmiercią, która niejednemu wydała się podejrzana. Zastanawiałem się: jeżeli w warunkach nielegalnej konspiracji, przy nieustannym, wewnątrzno-partyjnym żarciu się i wzajemnym wyklinaniu różnych frakcji i frakcyjek istnieje sztywna cenzura wypowiedzi, jakże to będzie wyglądało, gdy ci sami surowi doktrynerzy uchwycą w ręce władzę, a wraz z nią możliwość sankcji?

Powodów było aż nadto, by na serio zrewidować swój stosunek do „proletariackiego” obozu. „Dźwigary” na razie zawiesiłem, powoli zbierając materiały dla ewentualnego wznowienia. Mając teraz nieco więcej wolnego czasu, zacząłem przygotowywać do druku przekłady z rosyjskiego (Lermontow, Błok, Jesienin, Majakowski), oraz tom poetycki „Rozmowa z ojczyzną”, który, po wyparciu się przeze mnie licznych i zbyt pośpiesznie wydawanych juveniliów z lat wcześniejszych, miał stać się moim prawdziwym debiutem.

A więc w maju dowiedziałem się o samobójstwie znajomego z Kowelszczyzny. Zdarza się niekiedy, że samotnego, nocnego wędrowca dopadnie w czystym polu gwałtowna burza. Czarne zwaliska chmur, nie ma księżyca ani gwiazd, ciemność absolutna, idący na przełaj stracił orientację w terenie. Nikłe wybuchy dalekich błyskawic są nadto krótkotrwałe, by tę utraconą orientację odzyskać. Aż nagle oślepiające światło rozedrze niebo od horyzontu do horyzontu, zaleje niebo potokiem jasności, wyrwie z mroku okoliczny las i wzgórze, pola i domy wsi, niemal na wyciągnięcie dłoni, i już wiadomo, gdzie droga i jak na nią trafić. Taką błyskawicą stała się dla mnie owa tragiczna śmierć przypadkowego bądź co bądź człowieka.

Sowiecki krytyk, wlepiwszy ślepią w marksistowską kość, nie dostrzegł, oczywista, prawdziwego sensu wiersza, za to odkrył w nim symbolikę polityczną: ów tygrys to faszyzm, którego nadejście przeczuwa poeta, zaś owe „w uszach wata, cztery kąty i ja piąty i papieros i herbata” - to znowu symbole drobnomieszczańskiej ślepoty politycznej!

Typowa reakcja szewca przed obrazem Apellesa.

Więc tak. A inne samobójstwa? Więc może to prawda, że Sierioży Jesieninowi nie tylko sama wódka zarzuciła stryczek na szyję? Więc może Majakowskiemu nie tylko jedna odmowa powrotu ukochanej kobiety włożyła nagan do ręki? A co z Mykołą Chwyłowym? Ten nie był alkoholiczkiem i żadna piękna Lili nie pogmatwała mu życiowych ścieżek. Podobno Immanuel Kant lękał się snów, bo go wytrącały z uporządkowanego raz na zawsze trybu. Szermierze jedynej idei, zapatrzeni w nią jak ciele w malowane wrota, powinni lękać się i wystrzegać jak ognia podejrzliwych myśli, nawiedzających w samotne noce, a jeszcze bardziej widziadeł ludzi umarłych, ofiarowujących im swoje zagadki do rozwiązania.

Nie chcę niczego upiększać, więc wypada dodać, że na decyzji odejścia zaważyły również

¹ Jaskrawym przykładem tego prymitywizmu - więcej: prostactwa! - niech posłuży komentarz do jednego z najświetniejszych wierszy Tuwima, o tygrysie, skradającym się w ciemnościach samotnego pokoju „Stąd nie widać, oczywiście, tu nie słyhać naturalnie...”. Czy istnieje lęk metafizyczny? mroczne przecucia, nie mające nazwy w ludzkim języku?

motywy mniej urodziwe. Miałem 25 lat. Cztery najlepsze lata młodości oddałem temu, cośmy - zapewne za patetycznie - nazywali „polską rewolucją”. Konfiskaty, rewizje, areszty, więzienie, relegacje, wyroki... A jednocześnie prawie wszystkie zarobione pieniądze wpychane w druki i deficytowe wydawnictwa, „sowieckiemu psu pod ogon”, jak brutalnie w czasie jakiegoś pijaństwa wyraził się Bronek Michalski. Gdy coraz częściej zaczęły przychodzić chwile zwątpienia, wszystkie uroki młodości osaczały i wzywały ku sobie. A gdyby tak za forszę, przygotowaną na następny numer czasopisma, kupić sobie nowe ubranie, odnowić znajomość ze starą sztubacką sympatią i zaprosić ją na kolację do „Europy”, nie iść do Kazimierza nad Wisłą na piechotę, lecz pojechać wynajętą taksówką, urządzić starej matce święta wielkanocne, na jakie sama zdobyć się nie mogła, zjawić się nagle na zabawie w Kasynie Oficerskim i wywołać sensację smokiem, którego przedtem nigdy się nie miało?

Mieszczkańskie ciągoty, prawda? Wylazła burżujska mentalność spod czerwonego lakieru? A wy co? Może naśladujecie Judymów? Zrezygnował który z Joasi? Przypomniała się uwaga zacnej poetki lubelskiej, Franciszki Arnsztajnowej: „Bo u nas to już taki zwyczaj, że podłogi szoruje się jedwabnymi chusteczkami”. A jeszcze do tego posądzaicie zza węgla, że tę jedwabną chusteczkę wyciągnięto z policyjnej kieszeni?! Tak?! No, to ja wam teraz pokażę!

Powoli, przez resztę zimy i wiosnę 1935 roku dojrzewała ostateczna decyzja. W międzyczasie przyszedł list od Grydzewskiego, zawiadamiający o wznowieniu „Skamandra”, z zaproszeniem do współpracy. Pierwszy numer był zakrojony w intencji redaktora reprezentacyjnie: otwierały go nazwiska Staffa i Leśmiana, potem szli czołowi skamandryci, K.W. Zawodziński gromił krakowską awangardę w zasadniczej rozprawie, „Wehikuł bez kół”; w drugim szeregu szli młodzi. Wznowienie pisma odbyło się w atmosferze pewnej sensacji. Nie brakowało takich, co twierdzili, że młodzież wypadła o wiele lepiej od starszych.

Gdy w parę dni po wyjściu tego numeru wpadłem do Warszawy, spotkałem w „Ziemiańskiej” Tuwima i Broniewskiego. Zastanawiali się, przerzucając kartki egzemplarza leżącego na stoliku, komu dać pierwszeństwo. Broniewski bez zastrzeżeń głosował za moim „Powrotem Alain'a Gerbault'a”; Tuwim długo wahał się, wreszcie wybrał „Bramy arsenału” Czesława Miłozza. Niewątpliwie, był to duży sukces nowych roczników poetyckich.

O świeżo wydanej „Rozmowie z ojczyzną” Stefan Napierski (Marek Eiger) napisał w formie dialogu ni to esej ni to recenzję, w krakowskim „Ilustrowanym Kurierze Codziennym”. Były w niej pewne sformułowania, które posłużyły mi jako punkt zaczepienia do napisania artykułu, „Smutne porachunki”, również w formie dialogu, toczącego się między „poetą” i „przyjacielem”. Pozornie chodziło o polemikę z Napierskim, w istocie, o frontowy atak na polskich komunistów i ich sprzymierzeńców rozlicznej maści i autoramentu.

„Smutne porachunki” ukazały się na pierwszej stronie „Wiadomości Literackich”, co było, jak zaraz zobaczymy, okolicznością obciążającą, i wywołały skandal, jakiego nie słyszano od dawna. Pierwsza ruszyła do ataku Wanda Wasilewska, zaraz po niej odezwał się „Lewar”, znowu niezawodnym piórem Szenwalda, chociaż bez podpisu. Wasilewska nawymyślała mi ile wlazło:

zwroty „plugawiec”, „sparszywiał”, „obrzydzenie” szły w zawody z określeniami w rodzaju - „pluje na swoją przeszłość”, „szuka pieniędzy i powodzenia” itd. Nie obeszło się bez dramatycznego rozdarcia szat, ponieważ „Wiadomości Literackie” nie wahały się umieścić mego artykułu akurat w tygodniu, „kiedy w pismach pojawiła się krótka notatka o tym, że Alfred Lampe za przynależność do partii komunistycznej został skazany na piętnaście lat więzienia”.

Dla każdego, logicznie myślącego czytelnika stawało się jasne, że autorka tej diatryby albo sama należy do K.P.P., albo posiada intymne z nią powiązania. Ale naiwność polskiej lewicy i lewicujących liberałów była w Polsce przedwojennej bezgraniczna. Wasilewska aż do końca chodziła w glorii sztandarowej socjalistki. Redaktorzy „Robotnika” nie mieli co do tego najmniejszej wątpliwości. Zresztą, co tu gadać... Po wojnie, w prasie emigracyjnej także nie brakowało głosów, utrzymujących, że nawet bezpośrednio po wrześniu Wasilewska nie należała do partii. Widocznie wstąpiła do niej dopiero po wyjściu za mąż za Kornijczuka i włożeniu berlingowskiego munduru.

Wesołe, wielce wesołe wspomnienia! W obronie Alfreda Lampego naczelny organ PPS-u drukował płomienne wezwania Wasilewskiej. Ta sama Wasilewska nie odezwała się ani słowem, gdy współtowarzysze i następcy Lampego skazywali na więzienie jednego z najszlachetniejszych polskich socjalistów, Kazimierza Pużaka. Tak oto bezlitosny czas sam wprowadził najlepszą korektę do tamtych zapomnianych polemik sprzed trzydziestu lat.

A znowu wileńskie „Po prostu” miało specjalne powody do złego humoru. Zaledwie na parę tygodni przed ukazaniem się „Smutnych porachunków” Henryk Dembiński w bardzo przyjaznym liście prosił mnie o współpracę; najwidoczniej sprawa „Dźwigarów” go nie zraziła. Putrament napisał w „Pół wieku”, że po „Smutnych porachunkach” przestałem istnieć dla młodych pisarzy lewicowych, zwłaszcza w środowisku wileńskim. No, nie bardzo. Szarpano mnie przecież w „Po prostu” i w innych pismach przy każdej okazji. Ataki wzmożyły się w roku następnym, gdy ogłosiłem - także w „Wiadomościach Literackich” - obszernie rozwinięcie i uzasadnienie mego stanowiska, pt. „Uzurpatorzy wolności”. Wspomniany już parokrotnie Bolesław Zandberg (Piach) powiedział mi w chwili szczerości - bo mimo wszystko nasze osobiste stosunki nie urwały się, ani uległy pogorszeniu - że moje odejście mocno zaszkodziło montowaniu Wspólnego Frontu Pisarzy, kierowanego przez komunistów. Bądźmy skromni. Może przesadzał, w każdym razie trzask tego kija, wstawionego między komunistyczne szprychy rozległ się donośnie i napsuł wiele krwi.

Zandberg ubolewał, ale nie czynił mi zarzutów natury moralnej. Za to „Lewar” użył sobie na całego, przedstawiając mnie jako dywersanta i agenta. Łobodowski - pisał Szenwald - „podawał sfalszowany, idealistyczny preparat marksizmu i, przeciwstawiając go marksizmowi autentycznemu, zatruwając pięknobrzmiące hasła jadem interwencjonistycznego nacjonalizmu usiłował wnieść w szeregi radykalizujących pisarzy zamęt ideologiczny, próbował zdobyć ich dla faszyzmu”. I nieco dalej: „Masy robotnicze, chłopskie, pisarze, którzy służenie tym masom poczytują sobie za najwyższy zaszczyt i obowiązek, widzą w Łobodowskim kogoś, kto od początku stał po reakcyjnej stronie barykady, kogoś, kto zawsze był tylko nacjonalistycznym agentem na

usługach faszystu... Łobodowski puścił farbę. Poczytujemy to sobie za zasługę, że zmusiliśmy go do gadania w sposób tak otwarty...".

Wiedziano jednak o licznych procesach i wyrokach, więc trzeba to było jakoś załatwić. Szenwald dał sobie radę w bardzo nieskomplikowany sposób: po prostu napisał, że „coś tam było... przygodne areszty, przeważnie za burdy pijackie...”.

Wspominając te sprawy, Waław Mrozowski kwituje moje odejście w następujących słowach: „Dla nas postępowanie (Łobodowskiego) było jasne. Po prostu chęć polepszenia spraw materialnych. Marksistą prawdopodobnie nigdy nie był. Wystartował pod jego firmą, aby zdobyć rozgłos bezsilnego cierpiętника za ideę, a potem ten rozgłos zdyskontował niemoralnym skandalem i kompromitacją”.

Książka Mrozowskiego ukazała się przeszło ćwierć wieku po opisywanych wydarzeniach. Któż je pamięta? Zapewne, nie brakuje, co najmniej w Lublinie, osób, które dobrze je znają. Ot, choćby Konrad Bielski, który cztery razy występował jako obrońca w moich procesach. Tylko, że siły nierówne. Paszkwil ex-waleta z ulicy Dobrej został wydany ze smakiem przez towarzysza Romana Rosiaka. A gdzie w kraju szukać redaktora, który by zamieścił sprostowanie wszystkich kłamstw i kalumnii? Może tenże Rosiak? Więc dla porządku i z myślą o dniu, w którym „żelazne prawa historii” pójdą na złom, kilka konkretnych informacji.

W ciągu jednego tylko roku 1932 byłem konfiskowany dziesięciokrotnie. Oto lista tych konfiskat: tom wierszy „O czerwonej krwi”, wiersz „Do prokuratora”, drukowany w miesięczniku „Trybuna”; zbiór wierszy „W przeddzień”, artykuły w „Kurierze Lubelskim” (pięć razy), drugi numer „Barykad” (za dwa artykuły), trzeci numer (w całości). Prawie wszystkie konfiskaty spowodowały procesy, jedynie konfiskatę zbioru „W przeddzień” sąd uchylił. W pierwszym procesie, w styczniu 1933. Sąd Okręgowy skazał mnie na dwa i pół lata więzienia, z zawieszeniem na trzy lata; w apelacji obniżono mi wymiar do dwóch lat, ale jednocześnie, uwzględniając odwołanie prokuratora, zniesiono zawieszenie. Sprawa poszła do kasacji. W międzyczasie dostałem jeszcze jeden wyrok: sześć miesięcy darowane na mocy amnestii. Odpowiadałem z wolnej stopy za kaucją.

Rozprawa przed Sądem Najwyższym okazała się decydująca. Bronił mnie Emil Breiter, znany krytyk literacki, zamordowany podczas okupacji przez Niemców. Po krótkiej naradzie sąd skasował wyrok, przekazując sprawę do ponownego rozpatrzenia apelacji warszawskiej, z motywacją, że atmosfera, jak wytworzyła się dokoła mnie w Lublinie, nie daje gwarancji sprawiedliwego wyroku.

Łatwo sobie wyobrazić, co się działo w lubelskiej palestrze. Wyrok kasacyjny stał się przysłowiowym jasnym gromem z nieba. Nie sam fakt skasowania orzeczenia apelacji lubelskiej, lecz przekazanie apelacji warszawskiej, a nade wszystko druzgocąca motywacja zrobiła ogromne wrażenie. Na jesieni przypadało parę innych spraw, znacznie gorszych od pierwszej. Ale sędownicy grodu trybunalskiego byli już tak wystraszeni, że wprawdzie wyroki zapadły skazujące, ale wszystkie mi zawieszono. Przed upływem roku miałem konto „kryminalne” niemal całkowicie

oczyszczone. Na rozprawy przyjeżdżałem do Lublina z rówieńskiej podchorążówki i dla dodatkowej sensacji zasiadałem na ławie oskarżonych w mundurze. Dopiero po kilku miesiącach wplątałem się w konflikt z wojskowym kodeksem karnym. Uwięziono mnie i wytoczono proces, który zapowiadał się bardzo nieprzyjemnie. Ponieważ jednak w międzyczasie skończył się mój stosunek do służby wojskowej, sprawę przekazano Sądowi Okręgowemu w Łucku, a mnie wypuszczono na wolność. To zresztą osobny temat, o którym wypadnie wspomnieć w dalszym ciągu.

Bilans tych przeszło dwóch lat wyglądał dość okazale. Dziesięć konfiskat, osiem procesów, jeden areszt zakończony zwolnieniem za kaucją, blisko miesięczny pobyt w więzieniu wojskowym. To były owe „burdy pijackie” według oceny „Lewara”. Mrozowski w „Cyganerii” pominął procesy milczeniem, chociaż przebywając podówczas w niedalekim Chełmie, wiedział o nich doskonale.

To zrozumiałe. Gdyby uczciwie opisał jak się wszystko działo od początku, czytelnik ujrzałby moją działalność ustawioną w zupełnie innej perspektywie. Mój portret wypadłby wtedy Mrozowskiemu niezgodnie z zamówieniem. Bo jeżeli rzeczywiście miałem od początku chytry plan, obliczony na rozgłos i korzyści materialne, to czy nie dałoby się ich osiągnąć nieco tańszym kosztem?

Dla większego efektu komuniści lubelscy przygotowali na zakończenie bardzo miłą niespodziankę. Już od wiosny 1936 roku zaczęły krążyć pogłoski, rozsiewane z uporczywą konsekwencją, że to ja sypanąłem swego czasu profesora Mejersona, odgrywając w jego sprawie rolę prowokatorską. Samuel Mejerson, były dyrektor gimnazjum żydowskiego w Grodnie, w końcu lat dwudziestych przeniósł się do Lublina i zamieszkał w domu swego szwagra, dość wziętego adwokata. Prowadził żywą działalność partyjną i był inwigilowany od dawna. Często go widywałem, korzystając z bogatej biblioteki profesora.

Wiedział dobrze, że go śledzą, ale był bardzo nieostrożny i wpadł w najbardziej dziecinny sposób, jaki można sobie wyobrazić. Wielki proces, w którym Mejerson był głównym oskarżonym, toczył się przez kilka dni; bronili znani adwokaci warszawscy, z Duraczem i Berensonem na czele. Śledztwo dostarczyło jednak niezbitych dowodów i Mejerson dostał osiem lat więzienia. Dokładnej daty procesu nie pamiętam, w każdym razie było to w lecie 1933 roku, bodajże w lipcu, a najpóźniej w sierpniu.

Ani wtedy, ani w ciągu dwóch lat następnych nie spotkałem się z żadnym oskarżeniem, czy choćby cieniem posądzenia. Czuli „przyjaciele” wpadli na ten pomysł dopiero po upływie trzydziestu kilku miesięcy, już po moim zerwaniu z komunistami. Tak zawsze było i tak pozostało po dziś dzień. Gdy ktoś odchodzi od komunizmu, natychmiast staje się szpiclem i prowokatorem. Względy ideowe i moralne nie mają prawa wchodzić w grę.

Legenda męczeńska

Również pewne sukcesy literackie, odniesione w owym okresie, przypisano memu „odstępstwu”. „Ukoronowaniem działalności Łobodowskiego - napisał Mrozowski po latach - było przyznanie mu przez Polską Akademię Literatury Nagrody Młodych za tom „Demonom nocy”. Ma to znaczyć, że dla osobistej kariery i zysków finansowych odszedłem od komunizmu i w kalkulacji nie pomyliłem się, bo zaraz dostałem nagrodę Akademii. Godzi się przypomnieć, że po raz pierwszy zgłoszono mnie do Nagrody Młodych o rok wcześniej, w styczniu 1936, a więc już po ogłoszeniu „Smutnych porachunków”. Mimo to przepadłem na rzecz Światopełka Karpińskiego.

Mojej kandydatury bronili najmocniej Kaden-Bandrowski, Irzykowski, Nałkowska i Rzymowski; przeciwstawiali się Szaniawski, Kleiner, Berent, Zieliński. Zestawienie tych nazwisk mówi samo za siebie. Konserwatyści byli przeciw i ostatecznie położyli kandydaturę, popieraną przez pisarzy bardziej zbliżonych do lewicy. Nagrodę w roku następnym otrzymałem po prostu dlatego, że zmienił się skład osobowy: do Akademii weszli w międzyczasie Wierzyński i Goetel. Zresztą główny kontrkandydat z roku 1937-go, Tadeusz Breza, nie mógł się utrzymać ze względu na nazbyt, powiedzmy - „gide'owską, czy też „corydonową” tendencję jego „Adama Grywałda”.

Najlepsze recenzje z tomu „Rozmowa z ojczyzną”, wydanego na wiosnę 1935, miałem przed publicznym aktem „odstępstwa”, gdy nikt jeszcze o powzięcie takiej decyzji mnie nie podejrzewał. Sebyła w „Pionie” uznał „Rozmowę” za najlepszą książkę poetycką roku, pochlebnie pisał Zawodziński w „Wiadomościach” i inni. Krytyka literacka w Polsce przedwojennej powodowała na ogół sprawdzianami artystycznymi i politycznej „taryfy ulgowej” nie stosowała.

Trzeba jednak w ogóle zakwestionować tezę, według której odejście od skrajnej lewicy z miejsca decydowało o karierze. Powstała cała legenda „męczeńska” o pisarzach lewicowych, gorliwie podtrzymywana w Polsce dzisiejszej, a niekiedy, jak przy okazji śmierci Broniewskiego, i na emigracji. Legenda o straszliwym terrorze sanacyjnym, prześladowającym pisarzy lewicowych. Konfiskaty, procesy, szykany, więzienia... a w konsekwencji nędza, głód, męczeństwo.

Rzeczywistość nie wyglądała tak groźnie. Jeżeli ten i ów lądował w więzieniu z wyroku, to za udowodnione należenie do legalnej Partii Komunistycznej, a nie za wyczyny pisarskie. Na nie było rady. Ale i tak w wielu wypadkach udawało się zagrożonych ratować. Wieniawa rozbijał się o Broniewskiego, Wandurski i Stände mogli wyjechać zagranicę dzięki wstawiennictwu i doraźnej pomocy Związku Pisarzy, Leona Pasternaka wyciągnęła z Berezyna Maria Dąbrowska. Że niejedyn lewicowiec klepał biedę? Zgoda, ale również żyło w niedostatku wielu literatów dalekich od wszelkiego radykalizmu.

Mógłbym podać długi spis komunistów, którym doskonale powodziło się na różnych ciepłych i synekurkach. Wspomniałem uprzednio o Emilu Breiterze, który prowadził moją sprawę kasacyjną w Sądzie Najwyższym. Przypominam sobie dobrze, że gdy Breiter dowiedział się, iż przewodniczy Leon Supiński, zatarł ręce z radością i powiedział: „Sprawa wygrana! Supiński jej nie puści.” Otóż w rok później, już po likwidacji najgrubszych awantur, tenże Breiter, dowiedziawszy się, że jestem

w Warszawie zaprosi mnie do siebie i zagadnął, czy przyjąłbym stypendium z ministerstwa. Na mój negatywny gest uśmiechnął się ironicznie: „Niechże pan nie będzie taki nieprzejednany. Nie warto!” Wysunął szufladę, wyjął arkusz zadrukowany maszynowym pismem: „Może pan rzuci okiem” - zaproponował kpiącym tonem. Rzuciłem okiem i zdębiałem. Wśród kilkudziesięciu nazwisk stypendystów znalazłem niemal in corpore późniejszych redaktorów i współpracowników „Lewara”, z Elżunią Szemplińską na czele. Taki to był ten sanacyjny terror w stosunku do lewicowych pisarzy!

W Polsce międzywojnia nie brakowało lewicowego snobizmu, który może najsilniej przejawiał się na terenie literacko-artystycznym. Tradycyjnie liberalny, wcale liczny odłam inteligencji brzydził się wszelką prawicowością, widząc w niej nietolerancyjną reakcję, natomiast do przerostów lewicowych ustosunkowywał się z przyjaznym pobłażaniem. Młodemu, początkującemu pisarzowi po prostu nie wypadało nie być radykałem. Chyba, że jawnie i zdecydowanie palił mosty, stając pod sztandarem narodowym, jak to uczynił Gałczyński, idąc do Stanisława Piaseckiego. Co prawda „zielony Konstanty” miał już wtedy mocną pozycję literacką, a zresztą jego groźnych zapowiedzi „nocy długich noży” prawie nikt nie brał poważnie.

Jeden Nowaczyński mógł sobie pozwolić na pisanie prawą ręką w „Myśli Narodowej”, a lewą - w żydowsko-masońskich „Wiadomościach Literackich”, ale co wolno było wojewodzie pamfletu, nie uchodziło zwykłym „smrodem”, ledwie zaczynającym wybijać się na powierzchnię. Lewicowość była w literaturze owych lat glejtem i niejako świadectwem dobrego prowadzenia. Kto odchodził, i do tego z trzaskiem, w atmosferze skandalu, musiał liczyć się z tym, że jeśli tu i ówdzie znajdzie jawnych przyjaciół, narobi sobie znacznie więcej ukrytych wrogów.

Wkrótce po moich głośnych artykułach, zrywających z komunizmem, młody, ruchliwy lwowianin, Andrzej Kruczkowski (nie mylić z Leonem!), napisał do „Wiadomości Literackich” artykuł pt. „Causus Łobodowski”. Wywołał niebyle jakie zgorszenie twierdzeniem, iż gwałtowne zerwanie z lewicą „wymagało odwagi”. Była w tym sformułowaniu pewna racja, jak zresztą rychło miałem się przekonać na własnej skórze.

Wśród wielu polskich siucht istniała także siuchta lewicowa, przejawiająca się w sposób nieraz najbardziej niespodziewany. Może ktoś lepiej zorientowany ode mnie, napisze przy jakiejś okazji o działalności Koła Polonistów na Uniwersytecie Warszawskim, wcale sprawnie inspirowanym przez komunistów. Na przykład, towarzysz profesor Stefan Żółkiewski mógłby sporo na ten temat opowiedzieć, gdyby zechciał. Takich inspiracji było więcej i na pewnych odcinkach miały one wpływ poważny, nieraz decydujący.

Powyższe uwagi mogą wzbudzić niedowierzanie. Jak to? Przecież wszystko szło w ostatnich przedwojennych latach „na prawo”. Ozonowa sanacja kokietowała młodą endecję w radykalnym wydaniu; Rydz-Śmigły zjawiał się na korporanckich komerszach; Adama Doboszyńskiego sąd potraktował wyjątkowo łagodnie za „zajazd myślenicki”; Jerzy Pietrkiewicz został redaktorem literackim „Polski Zbrojnej”; pod pretekstem walki z komunistyczną infiltracją usiłowano opanować Związek Nauczycielstwa Polskiego, i tak dalej i tak dalej.

Co innego jednak oficjalna powierzchnia, a co innego powszednie życie, uzależnione od tysiąca osobistych i zawodowych powiązań, gdzie noga nogę wspiera i ręka rękę myje. W codziennych stosunkach literackich klucze do otwierania większości drzwi pozostawały nadal pod kontrolą liberałów i lewicowców. Jak zazwyczaj w Polsce, system ten szwankował, był anarchiczny, ale istniał i dawał o sobie znać często w najbardziej zaskakujący sposób. Umiejętnie stosowana plotka stanowiła jeden z chwytów ulubionych, choć nie jedynych.

W lutym 1937-go, już po Nagrodzie Młodych, otrzymałem zaproszenie na obiad w znanym klubie przy ulicy Pierackiego. Gospodarzem był pułkownik Koc, starsze pokolenie literackie reprezentowali Goetel i Wierzyński, młodsze - wspomniany już Andrzej Kruczkowski i ja; poza tym przyszedł architekt Bohdan Pniewski, malarz Rafał Malczewski, aktor Stefan Jaracz. Były jeszcze dwie albo trzy osoby, z których zapamiętałem wiceministra Spraw Wewnętrznych, Paciorkowskiego. Przy dobrym jedzeniu i jeszcze lepszych wódkach toczyła się nieprzymuszona, swobodna i nieobowiązująca rozmowa, która pod koniec skreśliła na tematy ideowo-polityczne. Jak się zdaje, Kocowi zależało na orientowaniu się w opiniach tego dość kapryśnie dobranego towarzystwa. Gdy nazajutrz ktoś zapytał Jaracza, jakie kwestie były przy obiedzie roztrząsane, ten rozłożył szerokie dłonie i odpowiedział zachrypniętym głosem: „Z punktu widzenia aktorskiego żadnej kwestii nie było”.

Po tygodniu nawet do Lublina zdążyła dotrzeć wiadomość, że wstąpiłem do Ozonu i zostałem mianowany przez Koca członkiem komisji do spraw literackich, z pensją miesięczną, według jednych - pięćsetzłotową, według drugich - dochodzącą do tysiąca. Na zaprzeczenie reagowano sarkastycznym chichotem. Gdy w jesieni tegoż roku przyjąłem propozycję wojewody Józewskiego i pojechałem do Łucka redagować tygodnik „Wołyń”, rozległy się głosy triumfu: „A nie mówiliśmy! Robi na całego sanacyjną karierę”. To że Józewski był wówczas celem skoncentrowanych ataków, w czym brylowały czynniki wojskowe, że jechałem na placówkę z góry straconą, której upadek był tylko kwestią czasu, nikogo nie obchodziło.

W końcu stycznia 1940 roku, w emigracyjnym Paryżu, miałem dłuższą rozmowę z profesorem Stanisławem Kotem, świeżo upieczonym ministrem w rządzie Sikorskiego. „Pan był ściśle związany z sanacją”. „Na czym pan profesor to opiera?” „No, jakże! Taka była w demokratycznych kołach powszechna o panu opinia. Bywał pan na obiadach u Koca, współpracował z Józewskim...”

Ale wróćmy do legendy. Na liście „męczenników wolności” znalazły się na honorowym miejscu Wanda Wasilewska i Janina Broniewska, rozwiedziona żona poety. Było to w roku 1937-ym. Chodzi o aferę „Płomyka”, o słynną sprawę sądową, wytoczoną krakowskiemu „IKC-owi” przez Zarząd Związku Nauczycielstwa Polskiego i wreszcie o strajk okupacyjny w lokalu Wydziału Wydawniczego Związku, zorganizowany przez wymienione panie. Wiele pisano na temat tych wydarzeń, przeważnie niedokładnie i tendencyjnie; Wacław Mrozowski w „Cyganerii” poświęca im bitych siedemnaście stron.

Z wydawnictwami Związku współpracowało wielu pisarzy, nic więc dziwnego, że cała afera wywołała żywe poruszenie także w środowisku literackim. W telegraficznym skrócie wypadki

rozwinęły się następująco. W marcu 1936-go roku ukazał się numer „Płomyka”, pisma przeznaczonego dla starszych dzieci, poświęcony w całości Sowietaom. Wybuchła prawdziwa burza, szereg pism, z IKC-em na czele, rozpoczął wielką kampanię przeciw Związkowi, oskarżając go o propagandę pro-bolszewicką. Zarząd energicznie bronił się na łamach „Głosu Nauczycielskiego”, a gdy kampania nie ustawała, przeciwnie rozszerzała się, zaskarżył redakcję IKC-a przed sądem o oszczerstwo. Proces zapowiadał się sensacyjnie, a skończył się całkowitą porażką Zarządu: sąd uniewinnił oskarżonych, przyznając tym samym rację ich zarzutom.

Niekorzystny wynik procesu pociągnął natychmiastowe skutki. Przewodniczący Wydziału Wydawniczego i redaktor „Płomyka”, Stanisław Machowski, musiał ustąpić, zaszło sporo innych zmian personalnych, zaś po kilku miesiącach, rzekomo za jakieś niedokładności gospodarki finansowej, Związek otrzymał kuratora w osobie śląskiego nauczyciela i działacza, Pawła Musiała. To właśnie wtedy zaczął się ów strajk okupacyjny, zakończony usunięciem Wasilewskiej i Broniewskiej z wydawnictw Związku.

Gdy po dwudziestu ośmiu latach odświeżam w pamięci szczegóły tej afery, którą śledziłem z bliska, zdaję sobie dokładnie sprawę, że sowiecki numer „Płomyka” należy wyodrębnić, potraktować go osobno, nie mieszając z generalnym atakiem na Związek Nauczycielstwa, idącym jednocześnie z kilku stron. Bo „Płomyk” był tylko pretekstem i to bardzo zręcznie wybranym.

Nie ulega wątpliwości, że rząd ówczesny chciał położyć rękę na Związku i szukał dogodnej okazji. Nauczycielstwo w swojej masie dalekie było od pewnych tendencji, ożywiających koła rządowe. Komuniści zawsze twierdzą, że Polska przedwojenna szła szybkim krokiem ku faszyzacji. Faszyzacja to przesada, ale niewątpliwie zwolennicy trzymania „za mordę” coraz częściej dochodzili do głosu.

ZNP cieszył się opinią organizacji potężnej i z natury rzeczy posiadającej duże wpływy w społeczeństwie. Przeciętny nauczyciel szkoły średniej był liberałem. Nauczyciele szkół powszechnych wywodzili się głównie ze wsi, więc ich związki z ruchem ludowym w najróżniejszych postaciach były oczywiste. Nie brakowało zdecydowanych radykałów. Zdarzali się komuniści, ale wersja mówiąca o skomunizowaniu szerokich rzesz nauczycielskich w najmniejszym nawet stopniu nie odpowiadała rzeczywistości. Stanowiła chwyt demagogiczny i nieuczciwy.

Zdarzało się przecież, że tu i ówdzie, ten i ów nauczyciel uwikłał się w kontakty komunistyczne. Sporo hałasu narobił wielki proces lubelski, w którym rola głównej bohaterki przypadła córce miejscowego kuratora szkolnego, Lewickiego. Młoda Lewicka nie była nauczycielką, jej ojciec nie miał nic wspólnego z robotą nielegalną, ale od czego „dobra wola” dziennikarzy pewnego pokroju. Ciesząc się błogosławieństwem z góry, propaganda antynauczycielska starała się odpowiednio urabiać opinię publiczną.

Jak powiedziałem, zakwestionowany numer „Płomyka” stanowił dogodny pretekst. Zarząd Związku popełnił zasadniczy błąd, usiłując bronić także i tej pozycji, straconej od początku. Bo

„obiektywna wymowa” tego numeru - że użyję typowo marksistowskiego zwrotu - była prosowiecka i prokomunistyczna. Pod pozorem informowania o dzieciach sowieckich, w swoisty sposób dobrane teksty stwarzały niemal idealny obraz życia w Rosji. Weźmy jako przykład wiersz niemłodego już wówczas poety, Stanisława Maykowskiego, o amerykańskich traktorach. Nikt uczciwy nie posądzał Maykowskiego o prokomunizm; o naiwność polityczną posądzić go było wcale nie trudno.

Uczeń polski czytał i dowiadywał się, że w Sowietach bywało ciężko, nie zawsze zdarzał się urodzaj, nieraz do wsi zaglądał głód, ale teraz przybyły traktory i wszystko natychmiast zmieniło się na lepsze. Ze zdjęć, ilustrujących numer, patrzyły roześmiane twarzyczki sytych, schludnie ubranych dzieci, komentarze informowały, jak bardzo władza sowiecka dba o szkoły, o wysoki poziom nauki, a zwłaszcza o rozbudzenie zainteresowań artystycznych. Poza tym numer kładł duży nacisk na rzekomo swobodną rozbudowę życia narodowego w republikach nie rosyjskich. Jako całość stanowił ponad wszelką wątpliwość propagandę prosowiecką.

Rozmawiałem w owym czasie z młodą nauczycielką z Wołynia, pracującą we wsi dość silnie skomunizowanej. Chodziło o swoisty, tak zwany „nacjał-komunizm” rozwijający się pod hasłem: „Haj żywe wilna Ukraina pid rukoju bat'ki Stalina!” „Proszę pana, ja dzieciom opowiadam, że w Sowietach nędza, terror i prześladowanie mniejszości narodowych, a tu przychodzi taki numer! Jak ja teraz wyglądam?!”.²

Zarząd mógł i miał prawo odciąć się od numeru i rzucić z siebie odpowiedzialność. Wystarczyło oświadczyć, że winę ponosi parę osób z Wydziału wydawniczego i wyciągnąć wobec ich konsekwencje. Takie posunięcie pomieszałoby szyki atakującym. Ale prezes ZNP, Kolanko, wziął na kiel i postanowił bronić się na całym froncie, żyrując bez zastrzeżeń dotychczasową politykę wydawniczą. Toteż wyniki były opłakane.

Kto redagował ów nieszczęsny sowiecki numer? Formalnie - Machowski. Nieformalnie - maczała w nim ręce Wasilewska. Była ona typową wtyczką partyjną i co do jej roli nie połączono się ani wtedy, ani później, chociaż Wasilewska zachowywała się niekiedy bardzo nieostrożnie. Wystąpiła jako świadek obrony w głośnym procesie wileńskim grupy „Po Prostu”. W pewnej chwili wypłynęła sprawa różnych kwot wpłacanych na fundusz wydawniczy tego pisma. Wasilewska nie bardzo pamiętała ile tego było i w jakim czasie. Gdyby prokurator zorientował się i przycisnął świadka, wyszłoby na jaw, że sumy były o wiele za duże, jak na możliwości publicystki, zarabiającej piórem. Oczywiście, chodziło o pieniądze z MOPR-u, przekazywane „Po prostu” za pośrednictwem Wasilewskiej².

Legenda „męczeńska” sprawiła, że na tle afery ZNP Wasilewska zyskała sobie sławę „niezlomnej bojowniczką o wolność” i ofiary sanacyjnego terroru. Zaś narzucony Związkowi kurator, ów myśłowicki nauczyciel, Paweł Musiał, na domiar złego mający koneksje z O.N.R.-em, stał się symbolem czarnej reakcji, administracyjnego zamordyzmu i faszyzujących prohitlerowskich

2 Pisał o tym dość szczegółowo Jerzy Putrament w I-ym tomie swoich wspomnień, pt. „Pół wieku”.

tendencji. Co prawda, Musiał źle się czuł w roli kuratora i wkrótce ustąpił z niemiłego stanowiska, ale i tak w opinii demokratycznej był już pogrążony.

Przyszedł wrzesień 1939-go roku, klęska i okupacja. Różne „symbole” uległy konfrontacji z rzeczywistością. W tym samym mniej więcej czasie, gdy Gestapo - usłużnie spełniając prośbę NKWD - transportowało do Lwowa meble z warszawskiego mieszkania towarzyszy Wasilewskiej, Paweł Musiał został ścięty na rynku katowickim toporem hitlerowskiego kata. Historia jest wielką ironistką i lubi wprowadzać takie niespodziewane poprawki.

Powszechny brak orientacji co do techniki pracy komunistycznej ułatwiał niezmiernie kamuflowanie się. Znałem marksistów dobrze urządzonych w radio, pisujących recenzje literackie do konserwatywnych dzienników, cieszących się poparciem „samego” Kadena. To osobny i wielce malowniczy temat. Kiedyś w Lublinie przejezdny działacz z Warszawy zaproponował mi kontakt z osobnikiem prowadzącym robotę na Uniwersytecie Katolickim. Przychodzę na punkt i ze zdumienia rozdziawiam gębę. Autentyczny barwiarz w dekle z korporacji „Hetmania”. Od razu połapał się, uśmiechnął, dotknął dłonią dekła. „Tak wygodniej. Wiecie... jest się poza podejrzeniem”.

Wanda Wasilewska była poza podejrzeniem, bo przecież córka Leona, bo socjalistka, bo współpracowniczka pepesowskiego „Robotnika”. Jakub Hoffman napisał kiedyś w „Kulturze”, że Wasilewska należała prawdopodobnie do MORP-u, a nie do partii. To nieporozumienie. MOPR był przybudówką partyjną i obowiązywała w nim taka sama dyscyplina jak w partii. Granice często zacierały się. Kto zaczynał od niebieskiego bloczku wielkości pudełka od zapalek, z czasem przechodził do poważniejszej roboty. Sądy Rzeczypospolitej stały na słusznym stanowisku, że praca w MOPR-ze jest równoznaczna z należeniem do partii.

Krótką a malowniczą dygresją, dobrze uwypuklającą metody komunistycznego kamuflażu. W parę miesięcy po osadzeniu mnie w hiszpańskim więzieniu w Figueras przybyło tam dwóch cudzoziemców: Węgier i sudecki Niemiec, z austriackim obywatelstwem. Obydwaj marksści; Węgier - członek partii komunistycznej, zresztą o pewnych ciągotkach trockistowskich. Minęło kilka tygodni. Do dyrektora więzienia zgłasza się braciszek z pobliskiego klasztoru, z koszem wyładowanym specjałami: biały chleb, kielbasa, sery, owoce. Katalońscy mnisi podkarmiający marksistów? A cóż to za heca?!

O aresztowaniu naszej pary dowiedział się były sekretarz osobisty pewnego arcykatolickiego polityka jednego z krajów Europy Środkowej. Napisał do nuncjusza w Madrycie, którego dobrze znał z czasów swego sekretarzowania, Nuncjusz do przeora najbliższego od Figueras klasztoru, polecając jego względom parę przyjaciół. Odtąd kosze z wiktuałami przychodziły regularnie dwa razy na tydzień, co sobie zresztą chwalilem, bo i mnie się z tego dostawało to i owo. Pozostaje tylko wyjaśnić, że ów sekretarz, mający duże chody wśród kleru katolickiego, był podobnie jak Węgier członkiem partii komunistycznej. O protekcji nuncjusza dowiedział się, naturalnie, kapelan więzienia, i będąc święcie przekonany, że chodzi o dwóch sztandarowych katolików, z miejsca

popędził ich do spowiedzi. Nieliczni wtajemniczeni w mechanizm tej zwariowanej historii mieli okazję do niebywalej uciechy.

Koniec „wspólnego pokoju”

Poza mną, lokatorzy „wspólnego pokoju” tylko objęli się o skrajne środowiska lewicowe, ale nie dali się wciągnąć głębiej. Najradykałniejszy był Domiński, jednak wyniesiony z Lublina kult Piłsudskiego nie pozwolił mu stoczyć się ku komunizmowi. Po trosze działał wpływ Czechowicza, który marksizmu nie atakował zasadniczo - kłuł go ironicznymi szpileczkami, co na młodych czyniło większe wrażenie niż gwałtowne przeciwstawienie się. Moje odejście w rok później również zrobiło swoje. W międzyczasie „wspólny pokój” rozleciał się.

Nigdy zresztą nie miał żadnych szans dłuższego przetrwania. Mieszkałem w nim z krótkimi przerwami tylko do jesieni, gdy w związku z wydaniem „Dźwigarów” wróciłem do Lublina. Ale ilekroć wpadałem do Warszawy na tydzień, dwa, miałem swój tapczan do dyspozycji. Rozalia dostawała wtedy w łapę dychę, albo i więcej, zaś wiecznie „waletujący” Mrozowski szedł spać na podłogę. W lecie doszłusował Domiński, który zarabiał zbyt mało, by zdobyć się na samodzielny pokój. Potem skład lokatorów ciągle się zmieniał. Wyprowadził się Piętak, poszukujący większego spokoju do pracy. Na krótko sprowadził się malarz i grafik Miklaszewski, czasem zostawał na noc Artur Rzeczyca, znacznie później zjawił się Waław Iwaniuk. Michalski i Domiński przenieśli się do sąsiedniej kamienicy. Mieli tam o wiele wygodniej: dwa pokoiki, jakaś łazienka, wysoki parter, więc w razie czego można było po zamknięciu bramy wyskoczyć na ulicę przez okno i wejść z powrotem po wyrzuconym sznurze, aż wreszcie dozorca, reprezentacyjny warszawski cieć, spostrzegł się i urządził piekielną awanturę. W tej „fili” wspólnego pokoju zatrzymywałem się parokrotnie, chociaż gospodyni krzywo patrzyła na gości.

Był rok 1935. Wyglądało, że całe towarzystwo zaczyna się powoli statkować i zdobywać miejsce w literaturze. Piętak był po debiucie, przygotowywał do druku nowy tom wierszy, Michalski również miał gotowy spory zbiór, „Spotkanie z brzozą”, który ukazał się już po jego śmierci. Nawet Domiński odgrażał się że wkrótce zadebiutuje, ale ciągle odkładał i tak się to ciągnęło przez dalsze trzy lata. Z czego ci poeci żyli? Czy rzeczywiście cierpieli skrajną nędzę i głodowali?

Sytuacja finansowa nie była taka straszna, jakby to wyglądało z wielu wspomnień i sprawozdań. Zdarzały się miesiące, gdy „wspólni lokatorzy” wyciągali razem grubo ponad pięćset złotych, co przy odrobinie zmysłu praktycznego powinno było wystarczyć. Rozalia zawsze chętnie służyła garnkami i patelnią, w „Dołku”, na rogu Tamki i Solca, można było opchać się za głupie 60 groszy. Ani „mama”, ani jej córeczka Celinka nie oszczędzały na nieśmiertelnej zupie pomidorowej, rzeczywiście znakomitej. Na stół wjeżdżała wielka waza, wystarczało na dwa głębokie talerze na każdego, wolno było umizgnąć się o repete, chleba też nam nie wydzielano.

Nawet wódka, jeśli się ją piło na miejscu, w pokoju, nie nadwierała zbytnio budżetu. Ale za

często zdarzały się szaleństwa, wyprawy do śródmieścia, które kosztowały za drogo. Po drugiej butelce liryczni poeci tracili poczucie rzeczywistości. No, co tam, jeszcze półsztoba, no, jeszcze po porcji zrazików, tu przysiadły się fordanserki, niegrzecznie byłoby odmówić, tu znowu kolejka koniaku i czarna kawa, albo znowu Staś Piętaś w chwili powszechnego roztargnienia zamówił butelkę wina. „Ja myślałem - sumitowałem się z niewinną miną, - że będzie „Złota Reneta”, a oni zaraz francuskie wino przynoszą... I tak jednej nocy potrafiło pęknąć sto pięćdziesiąt, dwieście złotych. A nazajutrz zęby na półkę. Potem nazywało się, że młodzi pisarze nie mogą utrzymać się w bezlitosnej stolicy.

Ale nie tylko to. Niektórym wydawało się, że aby wystarczy pisać poezję. Przyjechał ze Lwowa Stanisław Rogowski, młody, zdolny liryk, trochę po linii leśmianowskiej i bardzo dziwił się, że honorariami za wiersze nie jest w stanie opłacić nawet komornego. Na Dobrej 9, także usiłowały kwitnąć identyczne złudzenia i szybko zwiędły. Możliwości stałego zarobkowania istniały, ale w prozie: dziennikarka, reportaż, krytyka literacka, wreszcie radio. Najkonsekwentniej zachował się Domiński - od razu uznał, że tylko współpraca z jakimś dziennikiem może mu dać podstawy finansowe. Znalazł je później w „Kurierze Porannym”.

Wiele czasopism literackich w ogóle nie płaciło. Ale były i takie, które płaciły dobrze. W „złotym” okresie „Pionu” (1933-34), gdy redaktorem był Tadeusz Świącicki, a sekretarzem redakcji Stefan Flukowski, za nieco dłuższy wiersz otrzymywało się 50-60 zł.; za artykuł na całą kolumnę w „Wiadomościach Literackich” dostawałem 150 złotych, a więc na pokrycie zasadniczych całomiesięcznych wydatków. Po dziś dzień przetrwała plotka o skrajnej ekskluzywności najważniejszych czasopism. To nie była prawda. Każdy utalentowany pisarz, jeśli chciał i potrafił pracować, prędzej czy później otwierał sobie drogę do rzekomo „nieprzystępnych” redakcji.

Oczywista, istniały idiosynkrazje, ale gdzie i kiedy ich nie było? W wielu wypadkach można je było przezwyciężyć, nie uszczuplając swobody wypowiedzi, ani przekonań. W ostatnich latach przed wojną byłem stałym współpracownikiem „Myśli Polskiej”, do której zbliżyła mnie wspólna postawa wobec zagadnień wschodnich a jednocześnie stale drukowałem u Grydzewskiego. Jeśli ktoś znał dwa-trzy języki obce, nieźle dorabiał przekładami. Na wiosnę 1936-go roku, na zamówienie Instytutu Ukraińskiego w Warszawie przełożyłem sporo wierszy do polskiej antologii Tarasa Szewczenki (75-lecie śmierci). W ciąg dwóch miesięcy zarobiłem na tym około ośmiuset złotych. Kto jednak poza poezję liryczną nie wychodził, musiał klepać biedę, chyba że miał oparcie w rodzinie.

Domiński zaczął nieźle zarabiać dziennikarką od 1936-go; Piętaśowi poprawiło się na dobre dopiero po otrzymaniu Nagrody Młodych (styczeń 1938); Broniek wtedy już nie żył, skończył samobójstwem w lipcu 1935-go. Któż z nas mógł przypuszczać, że po dwudziestu kilku latach Stanisław Piętaś również popełni samobójstwo!

(D. c. n.)